

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI

# OTWIERAĆ TRZEBA RÓWNIEŻ OKNA, NIE SAME DRZWI...

**W**arszawski Teatr Powszechny rozpoczął sezon prapremierą sztuki Krzysztofa Choińskiego „Otwórz drzwi”. Napisało mi się „rozpoczął sezon”, a nie „otworzył” — jakoś mechanicznie. Okazuje się jednak, że w tym „przejęzyczeniu” tkwi ukryty sens. Bo mimo że jest to pierwsze wykonanie nowego dramatu polskiego — trudno jakoś podciągnąć to przedstawienie do rangi otwarcia sezonu. Przywykliśmy, że „otwarcie sezonu” coś znaczy, coś zapowiada, stanowi swego rodzaju deklarację. „Otwórz drzwi”, tych warunków spełnić nie może. W teatrze polskim kursuje do dziś dowcip z przedwojennych czasów o pewnym łódzkim krawcu teatralnym, znakomitym rzemieślniku, którego opinie aktorzy wysoko sobie cenili nie tylko ze względu na teatralne kwalifikacje owego pana, lecz przede wszystkim z uwagi na to, że wyrażał w sposób skrótowy i jędrny „głos publiczności” i zapowiadały powstanie przedstawienia lub kłapę. Otóż po jakiejś tam premierze miał on odpowiedzieć na pytanie Jacka Woszczerowicza, który wykonywał główną rolę w spektaklu: „To nie jest sztuka na premierę!”.

Cytuję tę anegdotę tym śmieiej, że jestem przekonany, iż kierownictwo Teatru Powszechnego również nie traktowało sztuki Choińskiego jako rzeczy mającej uświetnić uroczyste otwarcie sezonu. Z punktu widzenia teatru jest ona po prostu wygodna, poręczna: wszystkiego dwie osoby (kobieta i mężczyzna) akurat na małą scenę, a i poruszony problem wcale nie jest do machnięcia ręką. Osoby owe stanowią małżeństwo, które dokonuje ra-

chunku własnego pożycia. Nie dlatego, że im się źle dzieje. Raczej przeciwnie: mają dom, dobre stanowiska zawodowe, dwoje dzieci. Bezpośrednią przyczyną potrzeby dokonania rachunku stało się samobójstwo córki. Sztuka opiera się na dochodzeniu przyczyn tego kroku. Okazuje się, że rodzice wcale swego dziecka nie znali; z dalszego przebiegu rozmowy wynika, że właściwie wszyscy oni żyją obok siebie mijając się, że niewiele o sobie wiedzą i przez lata pożycia nie wytworzyły się żadne głębsze więzi między poszczególnymi członkami tego minispoleczeństwa.

Obojętne czy traktować sztukę dosłownie, czy metaforycznie — Choiński dotknął ważnej sprawy. Nie dokonał wprawdzie odkrycia, ale nazwał po imieniu pewne zjawiska społeczne, wynikające z postawy współczesnego człowieka czy warunków życia. W płaszczyźnie publicystycznej sprawa ta bywa często poruszana, łamy gazet są jej pełne. W teatralnym kształcie można było pójść nieco dalej, poza socjologiczne stwierdzenia (jeśli takie opublikowano). Ale mimo zręcznego dialogu i jego zwartości, mimo społecznego pożytku, płynącego z takich właśnie sztuk — trudno tu mówić o teatrze, który by nas dziś emocjonował czy wzruszał. Środki, którymi się posługuje autor, mieszczą się raczej w płaszczyźnie literatury publicystycznej niż w teatrze. Mimo świetnego wykonawstwa — grają Elżbieta Kepińska i Leszek Herdegen — „Otwórz drzwi” nic nam intelektualnie nie odkrywa. Choiński otworzył może drzwi, ale okna pozostały zamknięte. Te teatralne, rzecz jasna.

Nie jest to zjawisko odosobnione. Myślę, że można raczej dopatrywać się w nim jednego z objawów kryzysu formy współczesnego teatru. Otwiera się drzwi i tkwi w zaduchu — albo też otwiera się na oścież okna i powstaje przeciąg, wywiewający wszelką treść. Nie wiem, co gorsze.

Nie chcę tymi smętnymi uwagami odmawiać takim sztukom, jak ostatni dramat Choińskiego. prawa sceny. Zresztą teatry zawsze będą po nie sięgać. Są poręczne. Sądzę jedynie, że takie właśnie utwory zamacają obraz naszego teatru. Nie występuję przy tym jako zagorzały wyznawca teatru czystej formy. Jestem raczej tradycjonalistą i wysoko sobie cenię zawartość myślową sztuki, byle realizowaną środkami teatralnymi, które i aktorowi, i widzowi pozostawiają minimalną choćby możliwość intelektualnego wyboru, jakieś drobne szanse dwuznaczności i jakaś — w efekcie — ochotę do polemizowania z autorem, czy do snucia własnych myślałek na poruszony temat.

Nie są to wygórowane roszczenia. Sądzę raczej, że redukując je teatr rezygnuje z własnych szans i gotów zamienić się albo w nudną kazalnica, albo w jałową rozrywkę. A nie tak wyobrażam sobie funkcje teatru w naszym społeczeństwie.

Nie chodzi przy tym o sprawy wielkie, ostateczne. W końcu ubiegłego sezonu byłem w Gdańsku na prapremierze sztuki Jerzego Surdykowskiego „Horoskop”. Powstała ona jako produkt uboczny publicystycznych zainteresowań i doświadczeń autora, związanych z budową Portu Północnego. Jest to rodzaj kabaretu, formalnie bliskiego teatrowi studenckiemu. Rzecz charakterystyczna, że autor — jako student — nie bawił się w teatr, że więc nie wracał do własnej przeszłości. W skrótovej formie stworzył rzecz o budowie — o tym, co się tam dzieje, o ludziach pełnych wyobraźni i o asekurantach. Produkcijniak? — Daj nam Boże takich więcej! Bo utwór Surdykowskiego jest nasycony poezją. Ze względu nie tylko na songi, lecz i na strukturę całości. Przemawia do nas wyobraźnią teatralną. I jest przy tym zwierciadłem życia. Przedstawienie, zrealizowane przez Marka Okopińskiego, jest zabawne; raz po raz publiczność wybuchła śmiechem — ale jestem przekonany, że po wyjściu z teatru wraca owa myślą do poruszonych w nim spraw. Nie, by autor otworzył jakieś drzwi. Takich ambicji Surdykowski nie miał. Pokazał jak można i należy propagować pewne postawy i działanie w zgodzie z odczuciem współczesnego człowieka. Człowieka pracy.